

Wspomnienia o nauczycielach, opr. Krzysztof Myśliński

Joanna Chałowska (1942-2020)

„Pamiętajcie – rzetelnie, solidnie i z cytatami”. Ileż razy słyszałam te słowa przez cztery lata uczęszczania do „Śniadka” na lekcje polskiego prowadzone przez Panią Profesor Joannę Chałowską! Wiele pokoleń śniadecczyków na pewno również ma je w pamięci.

Ostatni raz rozmawiałam z Panią Profesor dziewięć dni przed Jej śmiercią – nie czuła się dobrze, słysząc to było po głosie, ale nie skupiała się na tym, zapytała mnie, jak idzie nauczanie zdalne – jak zawsze zainteresowana drugą osobą, aktualnymi sprawami oraz swoją wielką pasją i powołaniem – nauczaniem. Była Nauczycielką przez wielkie N, która przez 35 lat pracy w szkole w tysiącach uczniów wzbudziła pasje humanistyczne, szacunek dla ojczystego języka i szeroko rozumianej kultury. Nieraz ze śmiechem mówiła, że to przez nią tyle osób „morduje się w tym zawodzie nauczycielskim”. Nie wszyscy, oczywiście, zostali nauczycielami języka polskiego, lecz wielu zajęło się kulturą, a ci którzy poszli na inne niż humanistyczne kierunki studiów, również wiele Jej zawdzięczali. Jedną z Jej uczennic, już jako studentką, opowiadała, że zdała bardzo trudne egzaminy na Uniwersytecie Warszawskim – a nie był to kierunek humanistyczny – dzięki temu, że w swoją odpowiedź wplotła cytaty z fragmentu prozy, którego nauczyła się u Pani Chałowskiej. „Pamiętajcie – rzetelnie, solidnie i z cytatami”.

„Być sternikiem duchami napełnionej łodzi i odlecieć tak cicho, jak duch, gdy odlata”. Takim sternikiem był nie tylko Juliusz Słowacki, ale i Pani Profesor Chałowska, mentorka dla uczniów i studentów. Jeśli kogoś można nazwać osobą z klasą i charyzmą, to właśnie Ją. Trudno powiedzieć w naukach humanistycznych, że nauczyło się kogoś czegoś konkretnego, ale pamiętam, że nauczyła nas, wtedy licealistów, robić fiszki-notatki na poziomie akademickim, prowadziła niezwykle wykłady o kulturze, literaturze, sztuce i otwierała nam oczy na nieznane dotąd światy. Nawet po ponad 30 latach pamięta się to i docenia, jak mówiły osoby, z którymi wspominaliśmy Ją.

W latach 80., gdy w sklepach nic nie można było kupić, była kobietą bardzo elegancką. Wyróżniała się w szkole, nosiła korale lub gawroszki, które poprawiała po kilkanaście razy w ciągu każdej lekcji, spacerując nieustannie po klasie i tłumacząc nam różne zawiłości literatury, języka ezopowego. Kiedy przychodziłam do Niej w odwiedziny, zabraniała mi zdejmować buty, bo „elegancka kobieta zawsze musi być w butach, a nie kapciach”. Eleganckie były filizanki, z których piłyśmy kawę i herbatę, rozmawiając o losach koleżanek i kolegów z mojego rocznika, pamiętała

bardzo wielu i dużo o nich wiedziała. Miałam ten zaszczyt, że nazywała mnie swoją „najwierniejszą uczennicą i koleżanką po fachu”. Zobowiązała mnie do tego, żebym kiedyś ładnie ją pożegnała. „Wszyscy tylko mówią: Aśka, chcę, żebyś pożegnała mnie w kościele, bo tylko Ty tak ładnie mówisz! A mnie kto pożegna? Pamiętaj, Justyna, że ty masz mnie ładnie pożegnać w kościele. Oczywiście, nie za szybko!” Obiecałam to wiele lat temu.

Jej śmierć nastąpiła w niezwykłym czasie – walki z koronawirusem oraz w Wielkim Tygodniu. Czas wielkiego strachu, cierpienia, ale i wiary w to, że wszystko zmieni się na lepsze i istnieje drugie, piękne życie w zaświatach. W dniu Jej pogrzebu 14 kwietnia 2020r. w katedrze kieleckiej mogło być tylko pięć osób (wszyscy pamiętamy te obostrzenia), ale duchowo znajdowała się tam co najmniej połowa Kielc i uczniów Pani Profesor rozsianych po całym świecie. Nie mogłam znieść myśli, że nie będę w stanie dotrzymać danego Jej słowa i pożegnać Jej godnie w kościele. Napiisałam zatem pożegnanie i dołączyłam je do kwiatów złożonych na Jej grobie na Cmentarzu Nowym w Kielcach. Dzięki życzliwości jednego z księży prowadzących uroczystości pogrzebowe mogłam przeczytać je przy Jej grobie, a potem w czasie dwóch mszy św. odprowadzanych w Jej intencji w Kościele Akademickim Jana Pawła II i katedrze. Dużo wzruszonych osób mówiło mi, że oni też tak Ją pamiętają, dlatego to wspomnienie o Niej jest w dużej mierze oparte o to, co wówczas powiedziałam.

Pani Chałońska zawsze była wrażliwa na kwestie prawości i uczciwości. Na lekcjach nie uprawiała polityki, ale mocno akcentowała kwestie odpowiedzialności moralnej za czyny swoje i innych. I ona dawała świadectwo odwagi, prawości, mądrości, wrażliwości i godności Człowieka przez wielkie C. Zmienił się ustrój po 1989r., ale Jej zasady pozostały takie same: „A starać się, ponieważ zniszczyć musi ciało, aby imię przynajmniej po nas tu zostało”. Po Niej zostało bardzo dobre imię.

Miała przy tym duże poczucie humoru, często śmiała się na lekcjach z różnych lapsusów językowych, lecz nie z uczniów. Zawsze z ciekawością podchodziła do tego, co też uczniowie mogą powiedzieć. Mówiła mi: „Wiesz, nawet po latach, kiedy moje koleżanki jęczą, że znowu muszą iść na lekcje mordować się z różnymi matkami, ja podchodzę do tego w ten sposób, że zawsze mogę dowiedzieć się od nich czegoś nowego, a jak ktoś myśli, to już połowa sukcesu!” I uczniowie czuli i doceniali to. „Czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką ludzkość sobie wymyśliła”- wielu nauczyła tej zabawy. Nauczyła nas też rozpusty, tak – właśnie rozpusty – ale tej z wiersza Szymborskiej: „Nie ma rozpusty gorszej niż myślenie”.

Kiedy postanowiła odejść na wcześniejszą emeryturę, powiedziała mi, że nie chciała zostać zapamiętana jako starsza pani sklerotyczka, która powtarza to samo po parę razy, lecz chce odejść jako nauczycielka w pełni sprawna intelektualnie. Jej życzeniu stało się zadość - taka została do końca swojego życia – bardzo błyskotliwa, inteligentna, pełna werwy i energii. Na emeryturze pracowała jeszcze ze studentami na Akademii Świętokrzyskiej – dzisiejszym UJK, zajęła się malowaniem na szkło i porcelanie, rozdawała przyjaciółom te swoje prace, mam dwie z nich. Talent w tym kierunku miała chyba po swojej rodzinie – Czapskich, z których się

wywodziła. Śledziła losy swoich uczniów i jeśli tylko była w stanie, pomagała im dyskretnie, mówiąc, że jeśli ktoś był porządny w szkole, to i taki zostanie w pracy. Nie znaczy to, że żyła tylko szkołą, bardzo ważna była dla niej Rodzina i liczni przyjaciele. Pamiętam, jak bardzo cieszyła się, gdy Rafał i Marcin założyli rodziny i na świecie pojawiły się wnuki. W salonie stały ich zdjęcia, najbardziej pamiętam to z jedyną wnuczką Zosią – z warkoczykami.

Fragment anonimowej „Desideraty” z 1692r. chyba w dużej mierze jest odzwierciedleniem Jej życia: „Tak dalece, jak to możliwe, nie wyrzekając się siebie, bądź w dobrych stosunkach z innymi ludźmi. Prawdę swą głoś spokojnie i jasno, słuchaj też tego, co mówią inni, nawet głupcy i ignoranci, oni też mają swą opowieść (...). Wykonaj z sercem swą pracę”.

Tak robiła przez 78 lat swojego życia aż do pamiętnego 8 kwietnia 2020 r.

Może siedzi teraz gdzieś w niebie na ławeczce, w cieniu drzew i kwiatów, rozmawiając ze swoim rodzeństwem i umawiając spotkanie z Herbertem, Szymborską, Miłoszem i innymi wielkimi ludźmi kultury. I powie: „Wystarczy, Justyna, dobrze wywiązałaś się o obietnicy”.

Justyna Terlecka-Heinich

Władysław Kruszelnicki (1922-1987)

Władysława Kruszelnickiego poznałam na początku września 1964r., kiedy rozpoczynałam pracę w II Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących w Kielcach. Zostałam tam zatrudniona po ukończeniu Filologii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Byłam więc najmłodsza z grona, w którym dominowali panowie z długim stażem pracy w liceach dziennych, a w naszym wieczorowym ogólniaku tylko dorabiali do pensji.

Wszyscy nauczyciele przyjęli mnie życzliwie, ale serdeczność najczęściej okazywał mi profesor Kruszelnicki. Ten elegancki mężczyzna ujmował uprzejmością, taktem i klasą. Przy tym imponował mi wiedzą na różne tematy, co oczywiście, rozmawialiśmy zwłaszcza o literaturze. Mogę z przekonaniem stwierdzić, że to on jako pedagog i polonista ukształtował mnie jako nauczyciela. Był moim Mistrzem.

Jako nowicjuszka czasem potrzebowałam pomocy, więc prosiłam pana Władysława o radę w sprawach metodycznych, ale nie tylko. Nigdy nie odmówił, wręcz przeciwnie, cieszył się, kiedy mógł być przydatny. Z jego sugestii korzystałam także przy tworzeniu swojej polonistycznej biblioteczki. Pozwoliło mi to uniknąć błędów przy doborze książek.

W owym czasie, po trzech latach pracy młody nauczyciel musiał zdawać kwalifikacyjny egzamin przed kuratorską komisją. Wymagała ona przeprowadzenia dwu pokazowych lekcji, a następnie wykazania się szeroką wiedzą pedagogiczną.

Oczywiście najważniejsza była jakość lekcji, więc na tym skoncentrowałam swoją uwagę. I właśnie wtedy pomoc pana Kruszelnickiego okazała się bardzo cenna. Dzięki niej przeprowadziłam lekcje w sposób, który bardzo spodobał się komisji.

Pan Władysław lubił rozmawiać z ludźmi, słuchał ich uważnie, ale nie prowokował do zwierzeń, a jeśli już ktoś je poczynił, zachowywał je w sekrecie.

Kiedy zmarł mój Tato, byłam bardzo przygnębiona, zauważył to pan Profesor i przeprowadził ze mną długą rozmowę. Jej mądra treść przyniosła mi wyraźną ulgę.

Gdy w dziesiątym roku mojej pracy w wieczorowym liceum poczułam, że nadziedział czas zmiany, Pan Kruszelnicki nie tylko przyznał mi rację, ale też natychmiast zaczął szukać wolnego miejsca w dziennych ogólniakach. Jego starania okazały się skuteczne i 1 września 1974r. rozpocząłam edukowanie młodzieży w Liceum Jana Śniadeckiego, w szkole, do której sama chodziłam i którą ukończyły moje siostry. Byłam bardzo szczęśliwa i kiedy sprawcy tego szczęścia chciałam wyrazić swoją wdzięczność, usłyszałam: „Ja musiałem tak postąpić, bo dłużej nie zniósłbym tego, że się Pani tak u nas marnuje”.

Pan Kruszelnicki rzadko mówił o sobie, a przecież, jak się dowiedziałam zwygłaszanej przez prof. Stanisława Żaka mowy pogrzebowej, naprawdę miałby o czym opowiadać. Należał do pokolenia kolumbów, więc w chwili wybuchu wojny wstąpił do Armii Krajowej i rozpoczął na terenie rodzinnego Lwowa działalność konspiracyjną, równocześnie na tajnych kompletach studiował polonistykę. Po zajęciu przez Rosjan polskich ziem wschodnich Władysław Kruszelnicki został aresztowany i skazany na 10, a potem na 5 lat łagru.

Wywieziono go na Kołymę, na miejsce kaźni, z którego już się nie wracało... Ciężka praca, głód, potworne mrozy i dyzenteria doprowadziły młodzieńca do kompletnego wycieńczenia - ważył zaledwie 34 kilo - nieprzytomnego umieszczono go w kostnicy. Od pewnej śmierci uratował go jednak lekarz, który wśród trupów dostrzegł otwarte oczy chorego i umieścił go w szpitalu, dzięki jego zabiegom „wskrzeszony Łazarz” przeniesiony został do zwykłego obozu. Tam dostał się do baraku „urków” czyli przestępców kryminalnych – ludzi okrutnych, zdegenerowanych i pogardliwie traktujących więźniów politycznych. Trudno było liczyć na ich życzliwość, a jednak... Kazano mu czytać pozostałym więźniom gazety, głównie „Prawdę”, więc robił to rano, a wieczorem, już z własnej inicjatywy, opowiadał im o mitologicznych bohaterach, o wojnie trojańskiej, o przygodach Robinsona Cruzoe czy o rządach egipskich faraonów. O dziwo, słuchano go z dużym zainteresowaniem, a z czasem zaczęto obdarzać szacunkiem. Przywódca grupy więźniów – Grisza – chronił go, więc nic mu już nie zagrażało. To, że młodemu inteligentowi udało się zdobyć sympatię urków, dowodzi, że już wtedy miał on dużą charyzmę.

Kiedy po ośmiu latach katorgi Władysława Kruszelnickiego zwolniono, uzbrojeni sowieccy konwojenci dowieźli całą jego grupę do polskiej granicy. Jej członkowie byli powiązani drutem, co wywołało zdumienie naszych pograniczników. Polacy natychmiast rozkuli swoich i w dworcowej restauracji poczęstowali obiadem, co z kolei zadziwiło Rosjan.

Tę martyrologiczną przeszłość pana Kruszelnickiego poznałam dopiero po jego śmierci. Byłam wstrząśnięta tą opowieścią. Zadawałam sobie pytanie, skąd – po tak dramatycznych doświadczeniach – brał on pogodę ducha, spokój i optymizm. Nie dostrzegłam w nim nigdy goryczy czy mściwości, nigdy nikogo nie oskarżał i nie szukał odwetu. Niech więc na koniec wybrzmia – jako dowód pięknego człowieczeństwa tego wspaniałego Nauczyciela – jego słowa: „W człowieku tylko do pewnego momentu żyją wszelkie resentymenty. Kiedy twoje cierpienie przekroczy pewien próg, wyzbywasz się poczucia krzywdy i chęci odwetu. Ja doznałam wielkiego ludzkiego dobra – przecież nie powinienem już żyć, a jednak... ów lekarz, Grisza...”

Henryka Bobińska

Pan profesor Władysław Kruszelnicki we wczesnych latach 70. XX w. dorabiał jako polonista w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących przy ulicy Prostej w Kielcach. Wówczas w średnim wieku, starannie ubrany, elegancki, o twarzy naznaczonej jakimś tajemniczym piętnem, jakby pooranej zmarszczkami, pozornie nie przystającej do wciąż młodej sylwetki, był czarujący swym sposobem bycia dla młodych nauczycieli. Zaskakiwał wówczas dwie młode polonistki – prof. Henrykę Bobińską i mnie, przyprowadzoną właśnie do pracy przed oblicze dyrektora Mariana Dziadka – swoją bogatą wiedzą polonistyczną i historyczno-literacką. Na „dużej przerwie” prowokował rozmowy o wówczas mało znanej poezji C.K. Norwida, czy też współczesnego nam Tadeusza Różewicza. Zaskakiwał nas tekstami z pamięci, sposobami interpretacji, słuchając naszych impresji i relacji.

Nigdy nie mówił o sobie, o przeszłości. Od innych po dłuższym czasie dowiedziałam się, że był absolwentem Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, zesłany następnie na Sybir do Workuty. Lubił opowiadać o swojej córce Małgosi, jej talentach i sukcesach naukowych. Po rozmowach z Takim Polonistą bardzo łatwo wylaniał się gotowy konspekt lekcji, plan pracy tak ważny dla mnie młodej polonistki, po niedawno ukończonych studiach na UJ w Krakowie, młodej żony i matki trójki dzieci. Kiedyś tylko do mnie powiedział słowa, które pozwalały mi przez dłuższy czas podnosić głowę wyżej nad szarą rzeczywistość pracy w wieczorówce: „Masz małe dzieci – prawda? A w oczach Światło Madonny”. Słowa te mogły być związane z naszymi rozmowami o obecności malarstwa w literaturze pięknej, a równie dobrze mogły być wyrazem szlachetnej empatii dla młodej Matki.

Panie Władysławie! Jesteś w pamięci mimo upływu prawie 50 lat!

Jadwiga Jermak

Autorka - polonistka w Liceum dla Pracujących i przez ponad 30 lat
w Liceum Ekonomicznym im. Mikołaja Kopernika w Kielcach.

Danuta Sobczak-Michałowska (1929-2010) - artystka i pedagog

Jej dzieła znajdują się w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki, Muzeum Narodowego w Kielcach, Domu Środowisk Twórczych w Kielcach, Akademii Królewskiej w Kopenhadze, Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy, Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Kielcach, Państwowego Przedszkola nr 40 w Kielcach oraz kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

Była osobą wyjątkową. Była inspiracją i parasolem ochronnym dla otwartych i niepokornych.

Artystka

Urodziła się w okresie międzywojennym w Toruniu. Jej ojciec z pochodzenia był góraliem z Podhala (nazwisko Sobczak występuje w utworach literackich Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Jalu Kurka). Podczas II wojny światowej skończyła niemiecką szkołę zawodową (Toruń był wcielony do Rzeszy). W 1955 r. ukończyła kierunek rzeźby na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. I rzeźba właśnie stała się jej pasją. Z okresu studiów zachowała się fotografia, przedstawiająca jej pracę nad rzeźbą dyplomową *Tenisistka* (1955), wykonaną w realistycznym kanonie oficjalnej sztuki lat pięćdziesiątych XX w. W latach 1954–1961 prowadziła wykłady z podstaw rzeźby na toruńskim uniwersytecie. W tym czasie powstała rzeźba *Dziewczyna*, doceniona przez profesorów kopenhaskiej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jako członek ZPAP, pokazywała prace na krajowych wystawach indywidualnych i zbiorowych. Już na początku drogi twórczej wytyczyła obszar swoich zainteresowań, do którego należał człowiek i jego emocje. Na uczelni poznała męża, Andrzeja Michałowskiego, zabytkoznawcę i konserwatora, z którym przeniosła się do Kielc. On w latach 60. XX stulecia pełnił funkcję wojewódzkiego konserwatora zabytków, ona zaczęła uczyć modelowania ceramicznego w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach. Stworzyła pracownię ceramiki i rzeźby, brała udział w wystawach krajowych, należała do Grupy N – artystów plastyków, nauczycieli Państwowego Liceum Plastycznego. Tworzyła projekty rzeźb plenerowych. W 1968 r. do realizacji został zakupiony projekt jej pomnika „Upamiętnienie miejsca straceń w Nietulisku”. Efektem pleneru „Kielce’75” w Orońsku był dwumetrowej wysokości pomnik *Matka Ziemia*, wypalony w terakocie w znanym zakładzie Wyrobów Kamionkowych „Marywil” w Suchedniowie i ustawiony w parku miejskim w Kielcach. Cyklicznie, aż do 2000 r., brała udział w plenerach rzeźbiarskich oraz wystawach poplenerowych kieleckiego środowiska rzeźbiarskiego w BWA. W 1964 r. razem z rzeźbiarką Anną Henisz-Leszczyńską wykonała gipsową figurę *Matki Boskiej* w pełnej postaci, bez *Dzieciątka Jezus*. Rzeźba została umieszczona na 300-lecie śmierci Stefana Czarnieckiego w kościele parafialnym w Czarncy, gdzie dotąd znajduje się nad głównym ołtarzem. Pewnym odniesieniem dla prac artystki mogły być monumentalne i syntetyczne rzeźby Anglika Henry Moore’a czy Kolumbijczyka Fernando

Botero. Fantazję i różnorodność jej plastycznego widzenia inspirowanych sztuką ludową, dokumentują, poza rzeźbą, niewielkie kafle, plakiety ceramiczne i głowy pokrywane kolorowymi polewami.

Choroba (ołowica) oraz brak własnej pracowni zmusiły artystkę do znalezienia mniej wysiłkowej dziedziny twórczości. Zajęła się malarstwem. Malowała na poły fantastyczne wizje przyrody, martwe natury i sceny rodzajowe, inspirowane holenderskim XVII wiecznym malarstwem. Każdy obraz poddany był dyscyplinie linii, określających wydobyte w ten sposób kształty i plamy barw.

Tworzyła hieratyczne, czasem zwiewne, nastrojowe, emocjonalne portrety o delikatnej kolorystyce, które, jak w przypadku każdego artysty, były też jej wizją i wizerunkiem. Dynamiczne, lekkie modelki, głównie kobiety, o nadnaturalnie długich, potężnych szyjach i powiększonych, patrzących ze smutkiem oczach, najsilniej przywołują stylistykę portretów Amadeo Modiglianiego. Malowała również realistyczne autoportrety, emanujące smutkiem, liryzmem i skupieniem.

W 1981 r. w kieleckim BWA odbyła się jej indywidualna wystawa, na której zaprezentowano malarstwo, ceramikę i rzeźbę kameralną. W 2015 r. w Muzeum Historii Kielc miała miejsce wystawa rzeźby, malarstwa, rysunku i akwareli z kolekcji prywatnych zorganizowana w ramach jubileuszu I L.O im. S. Żeromskiego w Kielcach i Stowarzyszenia Absolwentów tej szkoły „Żeromszczyca”.

Pedagog

W 1971 r. z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych przeniosła się do I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego, gdzie aż do emerytury w 1984 r. uczyła głównie wychowania plastycznego, a także języka niemieckiego.

Artystka w roli nauczyciela piszącego rozkłady materiału, konspekty lekcji, wypełniającego dzienniki, wkomponowanego w plan zajęć, siatkę godzin w rytmie tygodnia w roku szkolnym. Kumulacja sprzeczności, które mogą rodzić potężne konflikty wewnętrzne u twórcy i konflikty zewnętrzne z racjonalnym, uporządkowanym otoczeniem, wydaje się nie do pogodzenia. Tymczasem profesor Danuta Sobczak-Michałowska była wieloletnim pedagogiem, realizowała się w tej roli tworząc zarówno własne kreacje artystyczne jak i przestrzeń dla rozwoju poszukujących, niepokornych, dojrzewających osobowości. Samo wychowanie jest wielką kreacją a wprowadzanie w krąg sztuki to otwarcie młodych ludzi na świat pełen niejednoznacznych, wielowymiarowych znaczeń. Uczyła spojrzenia na sztukę, na jej rozwój, na jej znaczenie. Zaszczepiała ciekawość artystyczną i artystyczną wrażliwość w spojrzeniu na otaczający świat. Sama zwracała uwagę na trudne sytuacje, będące udziałem uczniów. Oddziaływała też na młodych nauczycieli, instynktownie wyczuwając pokrewne dusze. Geograf, profesor Izabela Pęczkowska-Marcinkowska, pamięta, jak starsza koleżanka z wyrozumiałością i cierpliwością, w subtelny sposób edukowała ją przez lata.

Pracownia plastyczna profesor Michałowskiej w liceum Żeromskiego znajdowała się na parterze, na końcu szkolnego korytarza. Na parapetach stały gipsowe głowy, żadnych kwiatów i firanek. Klimat miejsca tworzyła sama artystka, zawsze

starannie ubrana, powściągliwa i wymagająca. Lubiła styl sportowy, spodnie, swetry, miękkie i luźne, zawsze z bluzką; jeśli kostium to lekko dopasowany. Wszystko w tonacjach beżu, szarości, brązu. Uzupełnieniem była starannie dobrana biżuteria, o której mówiła „biżu”.

Na lekcjach powstawały niezliczone szkice martwych natur. Uczniowskie prace: rzeźby, obrazy, ceramikę spotykało się w całej szkole. Nie było właściwie wykładów z historii sztuki, rzadko miały miejsce dyskusje na temat sztuki współczesnej. A jednak atmosfera zajęć silnie wpływała na uczniów. Uwrażliwianie na sztukę przekładało się pod jej kierunkiem w pasję wspartą ciężką pracą. W 1976 r. do szczybla centralnego I Ogólnopolskiej Olimpiady Artystycznej zakwalifikowały się trzy osoby, a jedna z nich została laureatem. W kolejnych latach sukcesów było coraz więcej. Profesor wskazywała cel, a uczniowie starali się sprostać wyzwaniu. W 1986 r., z okazji jubileuszu dziesięciolecia Olimpiady Artystycznej, Danutę Sobczak-Michałowską wyróżniono honorowym dyplomem uznania. Wielu jej uczniów przekształciło później swoje otwarcie na sztukę w zawód grafika, historyka sztuki czy konserwatora zabytków. Wielu wprowadzało trochę szaleństwa do własnego życia, jak np. niebieski dach na domu na wsi, do którego przeniosło się z rodziną na stałe.

W latach PRL-u jej wrażliwość pomagała chronić uczucia młodych ludzi i ich naturalną potrzebę wolności, której substytutem była sztuka.

Michałowska stała się ważnym ogniwem w nieformalnej grupie trzech profesorek, stanowiącej w tych latach „spiritus movens” życia kulturalnego Żeromskiego. Nie tylko doradzała, ale inspirowała pewne kulturalne przedsięwzięcia. Niebagatelne znaczenie miała tu jej fantazja i duże poczucie humoru. W oparach papierosowego dymu, cała trójca knuła co jakiś czas programy „Szansonad” – szkolnych przeglądów artystycznej twórczości uczniów. Oprawę graficzną do nich przygotowywali uczniowie pozytywnie „zakręcenii” inspiracjami przez profesor Michałowską. Zamieszania wywołane tymi programami destrukcyjnie działały na „organizację procesu dydaktycznego” co bardziej konserwatywnych nauczycieli oraz wywoływały stan absolutnego zagubienia dyrektora szkoły, który jednak godził się na takie „wybryki”.

Po przejściu na emeryturę utrzymywała serdeczne kontakty z wybranymi uczniami urzeczonymi jej artystyczną wrażliwością, rozległą wiedzą i życzliwością. Przez jej mieszkanie-pracownię przewijało się też wiele osób wszelkich horyzontów i różnego wieku. Była gościnna, znakomicie kucharzyła. Dużą sympatią darzyła psy. Miała kolejno dostojnego Bena i zabawnego Drapaka. Często lubiła jeździć do Zakopanego, gdzie były korzenie jej ojca. O sobie mówiła „góralka”, a jednocześnie tęskniła za Toruniem, miastem młodości, i Gdańskiem. W tym ostatnim miała wielu przyjaciół. Planowała nawet przeprowadzkę.

Zmarła latem 2010 roku, przeżywszy 81 lat. Zgodnie z jej życzeniem ciało zostało po śmierci spopielone, a prochy rozrzucone z samolotu nad Podhalem. Nie ma więc własnego grobu. W I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Kielcach ma jednak swoje miejsce. Istnieje tam też jej wyrazisty materialny ślad.

18 września 2015 r. o godz. 12.30 w obecności dyrekcji, uczniów, absolwentów i przyjaciół profesor Sobczak-Michałowskiej pracownia plastyczna, która kiedyś była jej pracownią, otrzymała jej imię. Nad drzwiami umieszczono tablicę z piaskowca w kształcie malarskiej palety zaprojektowaną przez artystkę, absolwentkę szkoły młodszego rocznika, Darię Maroń-Ptak. Pomysł narodził się w środowisku absolwentów, którzy w latach licealnych uczestniczyli w zajęciach plastycznych profesor Sobczak-Michałowskiej. Został zrealizowany w ramach obchodów 20. rocznicy powstania Stowarzyszenia Absolwentów Szkoły „Żeromszczacy” i 295 rocznicy powstania samej szkoły. „Żeromszczacy” byli też inicjatorami wystawy prac pedagoga i artystki prezentowanej w ramach jubileuszowych obchodów w Muzeum Historii Kielc.

Magdalena Helis-Rzepka

Opracowane na podstawie relacji absolwentów I L.O. im. Stefana Żeromskiego w Kielcach: Małgorzaty Banasik, Jarosława Leszczyńskiego, Anny Myślińskiej, Izabeli Pęczkowskiej-Marcinkowskiej, Marii Jolanty Stapór, Jakuba Winnickiego

Jerzy Zaremba (1937-2017)

W I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Kielcach w latach 1969–1999 uczył matematyki, a w latach 1971–1976 pełnił również funkcję wicedyrektora szkoły. Wychował wiele pokoleń uczniów, wielu wybitnych matematyków. Był niezwykłym człowiekiem – nauczycielem, wychowawcą, kolegą, dla wielu z jego uczniów i współpracowników autorytetem. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był nagradzany Nagrodą Ministra, Prezydenta Miasta Kielce i Świętokrzyskiego Kuratora Oświaty.

Trzeba się rozglądać, rozglądać i jeszcze raz rozglądać!

Zachowałam w pamięci obraz Jerzego Zaremby jako świetnego nauczyciela matematyki i mądrego, życzliwego kolegi pedagoga. W obu tych rolach był przede wszystkim osobą ważną, której zdanie brało się pod uwagę, której spojrzenie stanowiło wartość. Dodawało skrzydeł. Nie zabiegał o akceptację. Był sobą. Opanowany i żywiołowy jednocześnie, emanujący jakimś wewnętrznym, budzącym zaufanie spokojem i pewnością siebie. Potrafił i w uczniu, i w nauczycielu obudzić poczucie wartości, wiarę w siebie.

Pamiętam, jak w trudnym dla mnie szkolnym czasie, kiedy będąc już na emeryturze zwracał się do mnie „Pani Magdo” (a zaczynało się od nazwiska w czasach uczniowskich, przez „koleżanko” w okresie wspólnej pracy), mówił: „Wchodząc

do klasy, zamyka Pani drzwi i jest tylko Pani i uczniowie. I tylko to jest ważne”. Albo, że czyjeś dotkliwe zachowanie, „to zachowanie bezmyślne i niewarte uwagi”. Pamiętam, jak ważna do dzisiaj jest dla mnie opinia, którą przekazał mojej mamie, kiedy byłam uczennicą: „lubię ją, bo wie czego chce”. A przecież moim wyborem stawała się już wtedy humanistyka. Choć kiedy po pierwszym semestrze polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim przyjechałam na weekend do domu, odruchem w pierwszej wolnej chwili było sięgnięcie po zbiór zadań z matematyki. To jego lekcjom zawdzięczam dyscyplinę i umiejętność logicznego porządkowania myśli, trzymanie się konkretności.

W pierwszych latach pracy w liceum z zazdrością obserwowałam spotkania matematyków na długich przerwach, skupionych wokół Profesora przy stoliku po przeciwnej stronie pokoju nauczycielskiego i dyskutujących o jakimś matematycznym problemie lub dzielących się relacjami z zawodowych konferencji. Humanistom nigdy się taka współpraca nie udała.

Obchodziła go szkoła i los uczniów. Bronił swoich matematyków przed rutynowym ocenianiem ze strony kolegów-nauczycieli innych przedmiotów, wskazując na wartość wyrzeczeń, których dokonywali pracując przed rozpoczęciem szkolnych zajęć nad problemami matematycznymi. A zajęcia w Żeromskim zaczynały i zaczynają się przecież o 7.30. Cenił każdy wysiłek. Stopień to było jedno, a wiedza nauczyciela o uczniu, to drugie. Dlatego uczeń oceniany w semestrze najniżej na 3+ mógł na koniec otrzymać 5. Ważna była praca, jaką wkładał w osiągnięcie celu. Dzisiaj nie do pomyślenia, kiedy obowiązuje statystyka i regulaminy! Przejmował się swoimi uczniami. Pamiętam wzruszenie, jakie mu towarzyszyło w czasie uroczystości nadania pracowni matematycznej imienia jego wychowanka – wybitnego matematyka i taternika, który w bardzo młodym wieku zginął w górach. Korespondował z absolwentami, podsyłali sobie zadania matematyczne do rozwiązania. Emocjonował się nimi. Bawił się swoim przedmiotem. Kiedy był nauczycielem, wymyślał sposoby na zaciekawienie nim uczniów. Na jedno z pierwszych zajęć z moją klasą wpadł jak burza, poustawiał na ławkach parę odwróconych krzeseł, wykreślił na nich kredą przekątne recytując przy tym słowa rymowanki: Napoleon był niewielki i na spodniach nosił szelki...”. Sam nie był jednak olbrzymem. Siedzieliśmy oszołomieni i zachwyceni! Prowadził konkursy świetlicowe – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – takie wielkie szkolne testy o matematyce. Wciągał do nich i uczniów, i kolegów nauczycieli. Ponoć, kiedy w jednej z klas uczniowie skarżyli się na ilość zadawanych prac, zaprzestał zadawania, aż sami delikwenci skierowali doń podanie z prośbą o obłożenie ich pracą. Miał poczucie humoru i cenił je u swoich uczniów. Umiał subtelnie wychowywać.

No i żył szkołą. Kibicował np. męskiej reprezentacji w piłkę ręczną. A były to lata odnoszenia sukcesów w międzyszkolnych rozgrywkach. Widzę, jak w przezwyciężeniu meczu oddaje strzał do bramki kolegi, ku ucieście zgromadzonych na boisku widzów, jak zastanawia się nad metodami budzenia zainteresowań u młodych ludzi w dynamicznie zmieniających się warunkach po 1989 roku. Dyskutował o sposobach nauczania – nie dał się przekonać do komiksów tworzonych na podstawie

lektur, choć doceniał uczniowski wysiłek. Mówił: „Młodzież jest zawsze świetna! Na pewno są wśród uczniów tacy, z którymi warto szukać wspólnego języka... Uczniowie muszą chcieć skorzystać z tego, co im szkoła proponuje. Każdy nauczyciel, wszystko jedno jakiego przedmiotu, coś wnosi, trzeba tylko umieć to uchwycić i z tego skorzystać. Młody człowiek powinien się rozglądać. I nie dać się włożyć do szuflady np., jestem humanistą i nic więcej poza tym. Powtarzam: trzeba się rozglądać, rozglądać i jeszcze raz rozglądać. Człowiek znajdzie swoją ścieżkę”.

Na spotkaniu 25 lat po maturze mówiliśmy o Profesorze – Dżentelmen, chłopcy z uśmiechem wspominali profesorską Syrenkę dumnie stojącą przed budynkiem szkoły obok ich Fiatów 125p, Ład czy Zastaw.

Zostawił mi w spadku zadanie: dbałość o pamięć dotyczącą nauczycieli i ludzi szkoły. Ciągłe mam w uszach jego wystąpienie na Radzie Pedagogicznej, kiedy na wątpliwość dotyczącą obecności sztandaru szkolnego w czasie pogrzebu jednej z dawnych pracownic szkoły tłumaczył młodemu kolegom, a właściwie stwierdzał, jak to jest ważne, dotyczy nas wszystkich, no i tak nakazuje szacunek. Może dlatego starałam się, by w szkole rutynowym zachowaniem stały się pożegnania odchodzących nauczycieli w asyście pocztu sztandarowego, delegacji uczniów, nauczycieli i absolwentów. Z ostatniego zadania, które mi przekazał przez syna, bardzo starałam się wywiązać. Mam nadzieję, że choć trochę mu sprostałam.

Magdalena Helis-Rzepka

Magdalena Helis-Rzepka, polonista w liceum Żeromskiego, w latach 2010–2017 prezes Stowarzyszenia Absolwentów I L.O. im. S. Żeromskiego w Kielcach „Żeromszczacy”, klasa E, matura 1976.

Wypowiedzi Profesora pochodzą z wywiadu, którego udzielił w 2010 r. absolwentkom, pedagogom Agnieszce Woźnickiej i Oldze Dąbrowskiej-Cendrowskiej, klasa E, matura 1996 r.

*

Teksty stanowią kontynuację projektu mającego na celu przypomnienie sylwetek pedagogów kieleckich szkół średnich. Autorami są wychowankowie i współpracownicy bohaterów wspomnień.

Pierwsza część ukazała się w XI tomie „Studiów Muzealno-Historycznych” w 2019 r.